

LEPIEJ NIC NIE MÓWIĆ...



— Rzadko Pani gra. Rzadziej niż dawniej. Aktor żyje wówczas, gdy jest na scenie. Jeśli więc nie jest — co wtedy? To jest jego praca, jakże więc sprawdza czy jest ona potrzebna ludziom? Jak dowiaduje się czy on sam jest im potrzebny?

— Zapewne wszyscy zdają sobie sprawę, że są niepotrzebni dyrektorom teatrów, gdy ci gorliwie ich ukrywają, mając chyba ku temu ważne dla siebie powody. Mnie nie zależy znowu tak bardzo, aby grać co dzień. Gdy mnie coś interesuje — czy to ze względu na piękno polskiego języka czy walory dramaturgiczne czy tematyczne, czy co innego — opracowuję to sobie. Starcza mi wyobraźni, aby widzieć, co żyje na scenie. Czasami mam możliwość sprawdzenia tego i przed publicznością, jak to się stało w przypadku „Tej Gabrieli”. Mam takie niespodzianki ni z tego ni z owego. Więc może jeszcze co sprawdzę?

— A może wstępując na scenę — odświętnie niemal — chce mieć Pani czas na refleksję, dać oddech psychice? Psychice męczonęj przez tę mechaniczną, pośpieszną codzienność, odbierającą naszej wrażliwości świeżość?

— Szczerłość za szczerłość — tak, to jest u mnie zawsze ucieczka. Może z niechęci okazywania odwagi w rozpychaniu się nachalnym, czy też „kroczeniu” za wszelką cenę. Lepiej po cichu mieć pogodę umysłu, zawsze zdrowiej.

— Wyznaje Pani zasadę, że trzeba porządkować nie tylko świat, ale także, a może przede wszystkim siebie samego?

— Trzeba nabrać tchu w takiej puście wartości.

— Ta codzienna rzeczywistość. Jak uchronić się przed ustalonymi, jedynymi konformistycznymi formami bycia, w które nas ona wtłacza?

— I ja chciałabym to wiedzieć. Separacja to nie wszechstronne remedium. Dobrze byłoby wygadać się chociaż.

— Postacie przez Panią kreowane łączy, jak mi się wydaje, wewnętrzna wobec siebie uczciwość. Wierność sobie bez względu na obowiązujące konwencje. Co cenil Pani w życiu najwyższ, najwięcej? Zyczliwość, szacunek dla ludzi, uprzejmość wobec nich i wobec siebie, czynienie im przyjemności, wyrozumiałość?

— Najwyższ? Ciężki wybór przy tylu niespełnieniach... Pewnie dlatego wszystko lokuje się w tworzone postacie (które zawsze dla nas żyją), pewnie i z tej przyczyny są ludzkie. Można się nimi cieszyć, mogą prezentować tę nawiąną szczerłość myśli, a nawet ich czystość. Jakaś szlachetność musi istnieć chociaż na scenie, choćby w środkach wyrazu. Tak, to chyba najważniejsze.

— Zyczliwość, szacunek... Czy są to wartości trwale czy koniunkturalne, zmiennie?

— Mnie koniunktura nie interesuje. To chyba widać.

— A dyscyplina pracy?

— Tak, może przydałby się wszystkim hart ducha.

— Czy powinno się mówić o tych najprostszych sprawach, zdawałoby się tak oczywistych?

— Gdyby to coś pomogło...

— Jak pokonać nielojalność, nieszczerłość, nieuczciwość, niezyczliwość? Być ponad tym? Ponad złymi słowami i czynami ludzi? Ich niewiedzą, nietolerancją, głupotą? Rozumieć ich i wybaczać im? Chamfort powiedział: „Najlepsza filozofia w stosunku do ludzi jest ta, w której wesoły sarkazm łączy się z pobłażliwą wzgardą”.

— Chyba jednak bez słowa „pobłażliwą”. Objawy życia całego świata i nam skaczą do oczu czy do gardła, należymy do świata „każdy sposób dobry, aby polepszyć sobie byt”.

— Czemu ludzie wyrzekają się siebie dla doraźnych korzyści, stosunków, drobnostkowej interesowności? Sprzedają swoją indywidualność, znieprawiają charaktery?

— Gdyby ci wszyscy — tacy właśnie — zechcieli panu szczerze odpowiedzieć! Oni się przecież niczego nie wyrzekają. Tacy są. Nie mają czego w sobie znieprawiać. Istnieje całkowity brak wyrzeczeń. Dobrowolnych.

— W rozmowie sprzed dwóch lat — w „Odrze” — zapytana o to, jak zachowałaby się w obecności aktorzy poprzedniego czasu na współczesnej scenie, mówi Pani: „...gdyby dokonało się owo „czasów pomieszanie” musieliby tym utrudnieniem, naszym utrudnieniem dnia powszedniego nasiąknąć i pracować dla otaczającego ich świata, bez

wlary, bez naiwności, bez entuzjazmu, zachwyty. Zmieniłby się jak wszyscy, jak się zmieniamy”. To jest pesymistyczne. I nie tylko. To jest Pani nostalgia. Za czym?

— Za zachwykami. Za tamtymi ludźmi. Stąd pewnie powstała moda retro? Widocznie istnieją tacy, którzy potrafią tęsknić.

— W innej rozmowie powiedziała Pani jednak: „staram się zawsze zapominać o tym, co było nie lubię cofać się myślami. Interesuje mnie przyszłość”. Zapominanie to filozofia przetrwania, optymizmu mimo wszystko? Zapominanie to patrzeć w przyszłość bez względu na przeszłość. Ale przeszłość nas ukształtowała, jakże więc nie pamiętać swego dzieciństwa, dni chmurnych i górnych, pierwszej miłości, pierwszej pracy?

— Piękne sprawy pamięta się zawsze. Trwają... Chyba dopokąd my trwamy. I wszyscy ludzie żyją na pewno tylko potąd, dopóki o nich pamiętamy, „póki my żyjemy”.

— Czy nie ma Pani dosyć życia społecznego, ograniczeń wynikających z tej przynależności? I czy czasem to, co Pani robi — nie robi wyłącznie dla siebie?

— Karierowiczem nie jestem. W mojej pracy tak się składa, że to, co robię okazuje się przeważnie nie „dla mnie samej”, dla rodziny. To może jedyna jakaś pewność nabyta z doświadczenia.

— Wiele ludzi tęskni za tzw. normalnym życiem. Co to oznacza? Jak je osiągnąć?

— Nie wiem. Według mnie prowadzę życie „niecwanieckie”. Jakbym miała czas. Zwyczajnie. Aż za bardzo. Dla mnie „normalne” — byłoby bez utrudnień. I utrudzeń od rana do nocy, na każdy temat. Nieosiągalne.

— Dla wielu ludzi wielkim problemem jest czas. Jest ich obsesją. Boją się jego wpływu słyszą jak mija, mija — razem z nimi. Czy teatr, aktorstwo jest w stanie uchronić Panią przed tymi dolegliwościami, jakie niesie codzienna rzeczywistość? I pozwala Pani kontrolować ją, panować nad nią?

— To nie jest zawód, który pomógłby zapanować nad czymkolwiek. On we wszystkim przeszkadza. Nie do wiary. Taki „zawód czyhający”. Przed którym trzeba mieć siłę bronić się. Bez przerw! Gdzież te charaktery?

— Kazimierz Wierzyński napisał kiedyś o Pani: „Elchierówna należy do tej samej rodziny aktorskiej, co Jaracz. Są to mistycy sceny. Wyjdą na scenę, a już dzieje się coś, co nas ujarzmi”. Proszę powiedzieć w czym tkwi ta moc czarodziejska aktorstwa?

— Najmniej mogę wiedzieć o tym ja sama. Może tego nabyć nie można? Nie ma gdzie po to pojechać. Może „albo się ma albo się nie ma”? I święty Boże nie pomoże. Byli tacy, co nazywali to przekleństwem, znałam ich, że muszą aktorami być muszą.

— A Pani chciałaby być kimś innym?

— Dzieckiem, które wykrzyknęło, że król jest nagi!

— Czy często męczy Panią kontakt z publicznością?

— Publiczność emanuje bardzo silnie, jak na naszą wrażliwość. Nas właśnie stwarza i publiczność... Reakcje widzów. Najbardziej różne są, prawie na każdym przedstawieniu inne... Aż zadziwiająco, jeśli chodzi o naszą „Tej Gabrieli”, to nie męczy. To jest nauka — najwięcej warta. No, ale jeśli kogoś „nauka męczy”? My z Łapickim, w tej dwuosobowej sztuce, mamy wyjątkową możliwość odbioru owych nauk, emanacji. I przyznać muszę, cieszę się...

— Co sprawia Pani największą radość w Jej pracy?

— Ostatnio „Ta Gabriela” dostarczyła mi satysfakcji prawdziwie i całkowicie nieoczekiwanej, dla mnie dziwnej. Byłam przekonana, że biografia Zapolskiej może zainteresować tylko studentów, którzy lubili ją — jej sztukę. Tytuł młodych na naszych przedstawieniach to zaskoczenie. I radość niespodzianki. Oczywiście, postacie jej sztuk to ludzie młodzi, ona sama była awangardowa niezmiernie, buntownicza — na swój czas. Nie chciała być Orzeszkową. Nie holdowała zasadzie „lepiej nic nie mówić”. Czy mieści się i w dzisiejszym dniu ta europejska kobieta? I jej miłości?

Rozmawiał: BOGDAN MOŹDŻYŃSKI